

**Natalia Grzeszczyk**

**„Opowieść o Lejzorku Rojtszwańcu”, reż. Jarosław Antoniuk**

**Teatr Lalki i Aktora w Łomży**

Jest pewien rodzaj człowieka. Z pozoru zupełnie inny od przyjętych kanonów. Taki dziwny, ciekawy „ktoś”. Niby nikt go nie zna, nikt nie lubi, nie szanuje, a przecież, biorąc pod uwagę cały dorobek Teatru Świata, to właśnie o nim jest co trzecia sztuka. Kochamy ten temat. Jako społeczeństwo zaszufładowane i poszukujące, jako zagubiony efekt eksperymentów globalistów, mamy prawo do własnych, prywatnych, intymnych pytań. Wolność słowa opierać ma się z założenia o możliwość pytania. Przy czym nikt nie obiecuje nam odpowiedzi. Tym zwykliśmy nazywać wolność. Dlatego zapewne, mimo wszystko nie boimy się chociaż próbować szukać. To będzie opowieść o dwóch słowach: życiu i wędrówce.

Lejzorek Rojtszwaniec, krawiec męski w białoruskim Homlu, jeden z wielu Żydów tam mieszkających, posiadający własną, specyficzną filozofię życia, opartą na gadulstwie i szczerzej prostocie, która nie przysparza mu przyjaciół, a wręcz przeciwnie. Młody Lejzorek nie ma łatwego życia. Zakochał się, bez wzajemności w Feni, która jest uosobieniem jego wizji kobiecości. Jak to zwykle bywa, zakochany nieszczęśnik nie widzi nic poza tą miłością, ubóstwiał i pielęgnuje drogie mu uczucie, nie dostrzegając brutalnej rzeczywistości. Niestety, nie może być mężem Feni nawet w jednej trzeciej części. Świat zwykł kierować się zasadą – Kiedy nie możesz dać nic ponad słowa, to i niczego się w zamian nie spodziewaj. Jedno tęskne westchnienie za Fenią, wydane zrządzeniem losu przy dekrete wprowadzonym przez władze radzieckie, rozpoczyna niefortunną lawinę zdarzeń. Wiele krajów – Rosja, Polska, faszystowskie Niemcy, Anglia, aż wreszcie „pomarańczowy raj” - Palestyna. Wszędzie nowe nadzieje, nowe rozczarowania i więzienia. Wszędzie inaczej, ale zawsze z tych samych bezsensownych powodów. Lejzorek – tułacz i wieczny wygnaniec, który wszystkimi swoimi siłami opiera się nieludzkim, zezwierzęconym realiom otaczającego go świata. Niestety, zawsze brak mu odrobiny szczęścia, czy sprytu. Zbyt zależy mu na ideałach, by zrozumieć, że nigdy nie odnajdzie ich ziszczenia. Ale on, mimo wszystko chce próbować.

„Opowieść o Lejzorku Rojtszwańcu” na podstawie dzieła Ilii Erenburga, doczekała się premiery w łomżyńskim Teatrze Lalki i Aktora dnia 8 czerwca 2003 roku. Od tamtej pory zespół w składzie – Tomasz Rynkowski, Zdzisław Rej, Beata Antoniuk, Bogumiła Wierzchowiska – Gosk, Marek Janik, Jarosław Rosiński i Marzanna Gawrych, pod batutą reżysera – Jarosława Antoniuka, odwiedził już nie jedną scenę. I nie raz już zbierał laury za tą adaptację. Jest jednak parę spraw, o których ze zwykłej, młodzieńczej fascynacji, muszę napisać.

Po pierwsze – muzyka. Twórcą jej dla całego spektaklu jest Bogdan Szczepański. Człowiek, który jak sądzę własny charakter mistrzowsko przyswaja nutom. Wystarczy spojrzeć na jeden fakt, „muzyka Szczepańskiego” ma zawsze niepowtarzalny swoisty klimat, który trudno określić, ale który mimowolnie kojarzy się bezpośrednio ze sceną Teatru. Dla mnie, właśnie łomżyńskiego. Jest to tak integralna część wszystkich prawie spektakli, że nie wyobrażam sobie dany aktor bez tej muzyki i odwrotnie. Nazwać to można obcesowo – marką TLiA, lub bardziej prawdziwie – jego dobrym duchem. Zawsze krąży w niej ta sama wesołość, charakterystyczna dla Teatru, w którym spotyka się prawdziwy Aktor z prawdziwą Bajką. Zawsze jeden motyw, odpowiednio nastrajany i prowadzony. Zawsze jedno słowo, które niesie ze sobą – Teatr. Przecież chyba właśnie o to chodzi, abym po dobrym spektaklu przychodziła do domu z uśmiechem i trudną do powtórzenia, ale znajomą i ciepłą melodią w sercu. Ja w tym doszukuję się sensu muzyki w Teatrze.

Po drugie – scenografia i Przemysław Karwowski. Osobiście znam męki tworzenia takowej zgrabnej i praktycznej. Niestety, muszę z ciężkim sercem przyznać, że nie jest to wcale łatwe.

Zazwyczaj wszelkie jej niedociągnięcia wychodzą dopiero w praktyce, a to nie jest najwygodniejszy fakt. I co, jak się nie sprawdzi? Wstyd, proszę państwa. Jak ma zareagować bowiem audytorium na oklapniętą wieżyczkę, bądź inny dowód nieprofesjonalnego niedociągnięcia? W wyobraźni zawsze układam sobie najpiękniejsze rozwiązania tych problemów, co zazwyczaj napotyka na twardą ścianę rzeczywistości i prawie nigdy nie przynosi pożądanego efektów. Dlatego chylę czoło przed pomysłem scenografów. Całą istotę zmieścili w wymownym wielkim kufrze, który będąc tłem, domem i obiektem czułych westchnień i niewinnych pieszczot ze strony Lejzorka (zaraz za okienkiem znajdowała się Fenia, więc jak Lejzorek mógł nie polaskotać i przytulić ściany, która ma szczęście być bliżej tego ideału kobiety niż on sam?), okazał się wspinałą częścią całości.

Po trzecie, czwarte i ostatnie – aktorzy i reżyser. Tutaj jestem trochę skrępowana. Lejzorek – miód na serce karmione szkolnymi akademiami, zresztą, co mam się zachwycać, Tomasz Rynkowski został już za tą rolę nie raz nagrodzony, więc laury ode mnie są mu na nic. Chociaż, czekam na moment, w którym będę mogła mu w twarz powiedzieć – Podziwiam, naprawdę podziwiam. Szczególnie za to wyrzucenie z okna. Ja bym na pewno nie wstała. Ale po tym wszak rozpoznaje się prawdziwych aktorów. Kolejną niezapomnianą dla mnie kreację przedstawiła Bogumiła Wierzchowiska – Gosk. Co, jak co, ale ta pani jest nie do opisanego. Wnosi ze sobą tyle energii na scenę, jej Fenia bezdyskusyjnie bije wszystkie inne dotychczasowe postaci kobiece łomżyńskiego Teatru. Człowiek uśmiecha się do siebie widząc ją w oknie, ale jednocześnie czuje, że jakaś niteczka strachu rozplątuje się w jego myśli. Naprawdę, nie ma się czego wstydić, kobiety tak zwane fatalne wywołują strach wśród szarych obywateli... Co do strachu. Jedno nazwisko – Rej. Zdzisław Rej. Jego głos... Trudno właściwie przedstawić, ale proszę sobie wyobrazić inny, poświęcony wybitnie młodziutkiej publice spektakl, początkowy okrzyk z wiodącym prym głosem Reja – Boimy się! I płacz w pierwszym rzędzie. Szybko uratowano sytuację naprowadzającym – Oooo, już się nie boimy! Ale fakt pozostaje faktem. Kugiel był wybitnie przesiąknięty charakterem tej barwy głosu. Zupełnym przeciwstawieniem jest tutaj mowa Niusi, którą wykreowała Beata Antoniuk. Kolejna nieszczęśliwa miłość Lejzorka. I tutaj mam dziwne refleksje, ale może tak wysoko właśnie i przenikliwie miała mówić kolejna fatalna dla szlachetnego uczucia istota. Może tym jest właśnie ta kropla aktorki w każdej roli. Bo postaci się zmieniają, a głos pozostaje ten sam. To też ma filozofię. Reasumując – aktorzy niebanalni. Odpowiedzialny za piosenki, adaptację i reżyserię Jarosław Antoniuk zgrabnie wsiąkł w specyfikę żydowskiej opowieści i indywidualności aktorskie swojego Teatru. A mówię szczerze, bo proszę mi wierzyć, przez tydzień chodziłam z obrazem „pomarańczowego raj” przed oczami, wtedy też uśmiechałam się pod nosem, bo gdzie się nie zwracałam, tam dostrzegałam Lejzorka. W oczach kobiety kupującej bilet autobusowy, w oczach koleżanki będącej u odpowiedzi z fizyki... Ilia Erenburg stworzył coś ponadczasowego. Jarosław Antoniuk odpowiednio przedstawił to na deskach Teatru. Taka współpraca i zrozumienie są rzadkie, ale w efekcie niezapomniane.

Lejzorek jest skazanym na zagładę człowieczkiem. Zupełnie wyobcowanym w swojej gonitwie za szczęściem oraz tym spokojnym miejscem, w którym słowa takie jak miłość, godność i życie nabierają pięknie normalnych form. Lejzorek nigdy nie przestał szukać, trudno jednak powiedzieć, czy przynosi mu to chlubę, czy hańbę... Zagubiony gdzieś, między realnym światem a jego wyidealizowaną, czystą ułudą. Gdziekolwiek się nie znajdzie, tam natrafia na mury, których nie sposób przeskoczyć. Ale on, mimo wszystko próbuje. I nie raz jest za to wyrzucony przez okno.

Każdy z nas nosi w sercu takiego Lejzorka. Możemy się wypierać, uciekać od prawdy, jednak nigdy się z nim nie rozstaniemy, bo mimo zła świata, brutalnych doświadczeń chwil codziennych, my na przekór wszystkiemu chcemy pielęgnować w sobie poczucie ideałów. Czasem kosztuje nas to niewymownie dużo, płaczemy i cierpimy, ale pozostaje krzepiąca

myśl – nie zatraciliśmy tego, co w nas najlepsze. Z taką wartością możemy walczyć przeciw całemu światu, byle tylko nie zapomnieć jej istoty. Wtedy dopiero będziemy mogli zrozumieć pełnię słowa CZŁOWIEK. I właśnie Lejzorek Rojtszwaniec, Żyd z Homla, jest nim naprawdę, jest prawdziwym człowiekiem. Na przekór szarości dni powszednich. „Jeżeli coś ciągle trwa w naszej pamięci, to znaczy, że nadal istnieje”. I nie można się zniechęcać oglądając wieczorne wiadomości.